

~ Czwartkowe południe. Słońce delikatnie przebijało się przez zimowe chmury i wpadało przez okna do *Maxima*, gdzie siedzieli. Druga już kawa właśnie stygła w każdej z dłoni w czasie przerwy. Nie mieli chęci wracać do audytorium – każdy raczej pragnął snu. Krótsze dni wysysały wolę nawet z tych energicznych. Szóstka, mimo zmęczenia, wymieniała się wesołymi sygnałami, wzmacnianymi ciepłem jasnego urywka dnia. ~

M. poderwał się z łóżka, dysząc z trudem. Obraz snu rozmył się gwałtownie. Był sam. U siebie w ciemnym pokoju. Ciszę przerywał sygnał dzwonka aplikacji, w której przebiegały ćwiczenia. Spojrzał niechętnie w stronę laptopa i ruszył się, żeby odebrać połączenie. Rozległ się donośny głos prowadzącego. M. z wrażenia opadł z powrotem na łóżko, lecz szybko się podniósł, żeby zmniejszyć głośność.

Kawa – priorytet każdego poranka, który jako jeden z niewielu, nadawał obecnemu życiu odrobiny normalności. Wstawił wodę i odszedł w kierunku okna, żeby zapalić papierosa. Gdy je otworzył, doszedł go dźwięk płynący z megafonów – stary komunikat wzywający do zachowania bezpieczeństwa w tym trudnym dla świata czasie panującej pandemii. Zrezygnowany wciągał dym w płuca, obserwując martwą okolicę. Nikt już nie wychodził. Wyjątek stanowili ci z Orzeczeniami oraz pracujący na niedających się zastąpić stanowiskach. M. miał to szczęście, że uzyskał stosowne Orzeczenie – taki przywilej niepokonanej odporności. Kiedy ogłoszono, że składniki szczepionki w połączeniu z martwym szczepem wirusa wytwarzają niepożądaną – dla wielu – substancję, atakującą niektóre organy wewnętrzne ze skutkiem śmiertelnym, zdecydowano zawiesić szczepienia. Od roku prowadzone są badania nad zastąpieniem owego felernego składnika, ale bezskutecznie. Jednak nie wszyscy zaszczepieni zareagowali źle na szkodliwe działanie – ich organizmy posiadały wystarczającą odporność, aby oprzeć się negatywnej reakcji. M. i mała grupa jego znajomych należeli do garstki wybrańców. Orzeczenie *per se* nie dawało im możliwości spotkań, ponieważ zawsze któreś z nich mogło być nosicielem, jednakże posiadali oni pewnego rodzaju wolność – mieli pozwolenie na opuszczenie swoich czterech ścian raz na trzy dni, zawiadamiając oczywiście o swoim zamiarze odpowiednie służby. W to wchodziły spacery po lasach czy plaży. Ważne, żeby wszystko robili osobno, a najlepiej o innej porze.

Minęły trzy lata od pacjenta *zero*. Wszystkie starania organizacji międzynarodowych oraz rządów w państwach nie wystarczyły do zapobieżenia tego co się wydarzyło, dlatego też jedna trzecia populacji zapadła sześć stóp pod ziemię. M. miał serdecznie dosyć całej tej sytuacji; wszystkich intryg, teorii spiskowych, wprowadzonego reżimu i beczynności władz. Jako zwolennik rozwoju ludzkości i nauki ubolewał, tym bardziej, że nie może powrócić na uczelnię. Praktycznie cały ostatni rok spędził w zamknięciu, poza oczywiście korzystaniem z prawa do wyjścia na kilka godzin. Brakowało mu miejskiego ruchu i gwaru, tętniącego życiem wydziału, legendarnych frytek z kafeterii na piętrze, biblioteki, znajomych, spotkań, radości z bycia kim był. Podobno dalej jest tym kimś – studentem, ale wzgardza technologią, która zaprzecza jego definicjom bycia. Jedyne co w niej ceni to możliwość kontaktu z bliskimi, chociaż lepszym określeniem w tych czasach byłoby *dalekimi*.

Jednego z czwartków M. doznał swoistego olśnienia. Jako że czwartek był dniem, w którym mógł uzyskać przepustkę na wyjście z domu, załatwił sobie godziny wieczorne. Napisał do swojej grupy odpornościowców o tym, co zamierza. Udało mu się również przekonać ich do pójścia w jego ślady. O ile oczywiście wskazane były rezerwacje na różne godziny wyjść,

nie zawsze było to przestrzegane – przecież nikt nie odważy się spotkać w czasie tak tragicznym i niebezpiecznym. Umówili się w dawnym miejscu spotkań, poza widokiem. Odrobinę igrali z ogniem, jako że nie mieli pewności, czy ono dalej istnieje. Szczęście jednak dopisało i tak M., Karol, Święty, Nawojka, Mirka i Żelcia spojrzeli sobie w oczy po ponad trzystu sześćdziesięciu pięciu dniach patrzenia w kamerkę.

## 2

Sześć czarnych smug dreptało gęsiego w kierunku Oliwy. Zgodnie z ustaleniami telefony i wszystkie inne przedmioty udostępniające lokalizację zostały w domach. Jedynie nadajniki spacerowe porzucili po drodze, każdy w innym punkcie lasu, w celu zmylenia ewentualnego pościgu. Ktoś mógłby pomyśleć, że to im nic nie da, wszakże jakoś umówili się, a jak inaczej niż w Internecie? To byłoby trafne spostrzeżenie, gdyby nie przebiegłość naszych bohaterów. Przebiegłość oczywiście na miarę młodych ludzi dwudziestego pierwszego wieku. Dzięki zainteresowaniom całej szóstki, udało im się utworzyć kod, znany tylko owym młodym ludziom. W ten sposób szanse na przeszkodzenie władz w ich działaniach zbliżyły się do zera.

- Emek! - syknęła Nawojka za ich przewodnikiem. - Gdzie teraz? -

- Ćśś... - M. nie patrząc do tyłu wyciągnął rękę w kierunku jej maseczki.

- Zabijają nas. – Z szaleństwem w oczach szepnął Święty. - Zabijają! –

- Naprawdę zamknijcie dzioby mordki wy moje, bo rzeczywiście nas dorwą. – Po kilku sekundach ruszył znowu, a jego towarzysze jakby pociągani sznurkiem pomknęli truchtem za nim. Pozostawali w cieniu, aczkolwiek ich oczom w końcu ukazała się potężna Olivia Tower. Zbliżali się do celu. Każda ze smug miała swoje odczucia co do tego genialnego planu. Dwie z nich prawie w ogóle nie przyszły, atoli herszt M. wiedział, jak je przekonać, bo przecież ostatecznie obie pragnęły tego samego – odrobiny prawdziwej radości, która w tamtym czasie wydawała się wręcz zakazana. Nikt oczywiście nie karał za śmiech czy dobre samopoczucie; świat jeszcze nie osiągnął poziomu oddziału psychiatrycznego siostry Ratched, dlatego też nie było zapotrzebowania na ratunek ze strony jakiegoś McMurphy'ego, lecz M. poczuł obowiązek powołania go do życia, dlatego że nikt już się nie śmiał, ani nie był w dobrym humorze, a co to za życie? Właściwym terminem na takie życie jest *puste egzystowanie*, które już nie wystarcza.

Sunęli cicho trawnikiem. Przed nimi ostatni etap eskapady. Najbardziej niebezpieczny, mrozący krew w żyłach – dostanie się na teren kampusu. Kamery przy bramach zostały zlikwidowane kilka miesięcy wcześniej. Nie były potrzebne. Pies z kulawą nogą nie przechodził w pobliżu bram i ogrodzenia uczelni, więc przeniesiono je w miejsca, które były bardziej odpowiednie.

Światło latarni stojącej między ogrodzeniem a McDonald's gasło co minutę na około trzydzieści sekund. Tyle mieli czasu, każdy z nich, na przemknięcie i pozostanie niezauważonymi przez ewentualne patrole. Podchodzili parami. Członkini ostatniej pary, Żelcia, poślizgnęła się na mokrym metalu, o mało nie roztrzaskując sobie głowy o beton. M. i Święty ruszyli w jej kierunku, łapiąc ją w locie. Obok nich Karol zeskoczył z płotu.

- Cholera...- wycedził M.

- Żyjesz, Żelciu? – przerażony jej partner zaczął gorączkowo sprawdzać, czy reaguje na bodźce, dotykając jej twarzy.

- Zjeżdżaj Karolku! – pisnęła rozwścieczona, odbijając swoimi jego kończyny. Zgodnie z poleceniem odsunął się, broniąc się przed nadchodzącym atakiem z jej strony.

- Już! Dość hałastra! – syknął M. – Nie mamy na to czasu. Najważniejsze, że Żelcia w porządku. My w porządku, więc idziemy.

Wszyscy otrząsnęli się i ruszyli w kierunku majestatycznego, największego na kampusie Wydziału Prawa i Administracji. Światła nie świeciły się. Szli po omacku, jednak droga była im dobrze znana. Naturalnie nie śpieszyli do głównego wejścia, byłby to akt zupełnej

głupoty i postradania zmysłów z ich strony. Mirka i Nawojka wyszły na prowadzenie. Dzieliły ciotkę, która niegdyś pracowała tam jako sprzątaczką. Jeszcze za życia stacjonarnego знаły inne wejścia. Co prawda zawsze były one zamknięte, ale cóż to za problem dla grupki aspirujących prawników? Sześciu i dwie wsuwki – któremuś musiało się udać wejść. Zeszli trochę w dół i dotarli do jednych, raczej ukrytych w zaroślach, drzwi. Mirka sięgnęła do włosów po to cenne narzędzie, kiedy Żelcia jednocześnie szarpnęła za klamkę.

- Czy ciebie coś opuściło? – Święty niemal krzyknął, łapiąc się za włosy, jakby miał je zaraz wyrwać. Ku ich zdziwieniu drzwi otworzyły się bez większego problemu. Tego żadne z nich nie przewidziało. Równo rok wcześniej, Trójmiasto obiegła informacja o całkowitym zamknięciu Uniwersytetu Gdańskiego nawet dla pracowników. Dopóki sytuacja na świecie nie wróci pod kontrolę, miejsca o znacznej powierzchni oraz placówki edukacyjne pozostają zamknięte na cztery spusty.

- Może przeoczyli to wejście. – spostrzegła Nawojka.

- Trochę to podejrzane. Ciekawe czy to jedyne otwarte drzwi... - Żelcia niepewnie przekroczyła próg wydziału. – Ooo wiem, gdzie jesteśmy! Jeśli pójdziemy schodami na górę, wyjdziemy obok biblioteki!

Reszta podążyła za nią. M. trzymał się końca i zamknął za nimi drzwi. Nieprawdopodobnym było, że mogło dojść do aż takiego błędu przy zamykaniu uczelni.

- Matko! Jak tu czysto! – zdziwiony Karol przesunął ręką po stopniu przed nim.

- Co? – pozostali obrzucili go zmieszanyimi spojrzeniami. Karol najbardziej dbał o to, żeby wszystko wokół niego było schludne, czyste i zdezynfekowane. Reszta była do tego przyzwyczajona, ale nie potrafiła zrozumieć, dlaczego akurat teraz jego obsesja zyskała ujście z jego umysłu.

- No co: co? Przecież tu nawet drobinki kurzu nie ma, ludzie! –

- Więc? – Święty przetarł rękawiczką poręcz.

- Nikogo tu nie było od roku przynajmniej, czyż nie? – uniósł brew, bacznie obserwując swoich towarzyszy. Nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytanie, westchnął głęboko i kontynuował. – Skoro, moi drodzy, od tak długiego czasu nie przeszła tędy ani jedna pani sprzątająca, to skąd ten brak kurzu, który jest wszędzie?

Przez chwilę stali tak skonsternowani tym, co powiedział, aczkolwiek machnęli na to zgodnie ręką i poszli dalej. Naburmuszony Karol ruszył za nimi, ale w głębi duszy wiedział, że ma rację, że coś tu się dzieje. W końcu pokonali pozostałych kilka stopni i ich oczom ukazały się schody prowadzące na piętro, szatnia, bar, biblioteka. Nie byli na Wydziale tak długo, a jednak on pozostał dokładnie taki, jakim go pamiętali. Brakowało tylko dziesiątek studentów i wykładowców spieszących się dokądś; tego gwaru, który im towarzyszył, uśmiechu, płaczu, niepokoju, ekscytacji.

- To co? Rozbijamy obóz? – zażartował M., zrzucając plecak na ziemię. Wypakował z niego koc i ruszył na górę. Pozostali rozeszli się w innych kierunkach.

- Zapowiadam mecz piłkarzyków, mili moi! Zawiadamiam radośnie: stół nadal stoi! – wykrzyknął Święty, zakasając rękawy. Żelcia i Karol ruszyli w stronę biblioteki. Drzwi okazały się zamknięte, a więc teraz przydała się wsuwka, którą tym razem z włosów wyciągnęła bohaterka wcześniejszego upadku. Jej towarzysz niepewnie rozglądał się na boki, przyswajając przyjemną woń owocowych detergentów. *Tutaj też?* – pomyślał, trzymając się blisko swej przyjaciółki. Mirka i Nawojka pokierowały się w stronę baru na parterze. Był zamknięty. Zdecydowały się dołączyć do M. na górze i sprawdzić co z *Maximem*. Gdy jedna z nich próbowała otworzyć drzwi, druga szukała wzrokiem ich przewodnika. Wtem jej oczy natrafiły na przedziwny widok – witraż przedstawiający boginię Temidę, wyglądał jakoś inaczej. Właściwie różnicę stanowił brak na nim jego bohaterki. M. stał naprzeciwko dzieła, również to zauważył.

- Nawoju, moja kochana, powiedz ty mi – czy widzisz to, co ja? –

- Wydaje mi się, że właściwie to nie widzę tego, czego ty również właśnie nie widzisz, mój drogi Emku. – stanęła obok niego, łypiąc ukradkiem to w jego stronę, to w stronę witrażu.

Z zamyślenia wyrwał ich głos Mirki, która właśnie poradziła sobie z zamkiem.

- *Voilà, mes chers amis!*

- Patrzcie! – Karol, dołączywszy z Żelcią do pozostałych na górze, wskazał na pusty witraż. Wszyscy skierowali swoje spojrzenia w kierunku chluby Wydziału, a także dwójki gapiącej się na pustkę. M. oraz Nawojka w końcu dołączyli do nich. Bez słowa minął przyjaciół i przeskoczył blat w kierunku kuchni. Ku swej ucieście znalazł tam podłączoną zamrażarkę, a w niej dwie paczki frytek. Wyciągnął jedną i wrzucił do frytkownicy, w której był o dziwo świeży olej, już rozgrzany. Coś dziwnego ich tu właśnie spotyka.

Znalazł odpowiedni pojemnik i wsypał w niego gotową porcję.

- Numer jeden, proszę! – wrzasnął uśmiechnięty. Usiadłszy kontynuował. – Słuchajcie, coś tu jest nie tak, jak powinno być.

- Niesamowita dedukcja Sherlocku. – prychnął Karol.

- Mam wrażenie, że czymś nam wypstrykali przepustki i teraz po prostu mamy zwidy. Nic więcej. – Święty złapał sześć frytek na raz.

- Możliwe. – potwierdziła Mirka. – Ach, ale zostawmy to. Sam fakt, że w ogóle tutaj dotarliśmy, jest nieprawdopodobny. Dzięki Emku.

- Za co? – niewyraźnie wycedził przez frytki.

- A za to, że udało ci się nas tu wyciągnąć, plan godny mistrza zbrodni.

Wszyscy wybuchli śmiechem.

### 3

Rozmawiali aż do świtu. Chyba pierwszy raz od kiedy się znają, coś takiego miało miejsce i to bez kropli alkoholu w ich krwiobiegach.

- Ale cisza... - westchnęła Nawojka.

- A pamiętacie ten wiersz? – zagadnął M.

- *Słyszysz to?* - spojrzeli po sobie.

- *słyszysz to?*

*co? przecież panuje głucha cisza*

*nie! nie, nie, nie!*

*słuchaj*

*narasta szum*

*łzy płyną po polikach*

*wśród umarłego miasta*

*smętny głos morskich fal*

*przedziera się*

*przez betonowy świat<sup>1</sup>*

- Jaki adekwatny! – bąknęła Mirka. – Rzeczywiście jest tak cicho, że aż słyszę dźwięki Zatoki Gdańskiej.

- Ależ o czym wy mówicie, moi drodzy? – obruszył się Święty. – Ja zdecydowanie nie słyszę nic. Nic poza ostatnią zwrotką *Krakowskiego Spleenu*. Ach ten ostry ryk Kory na końcu. – rozmarzony spojrzął w sufit. – Tkwi w moich uszach od kilku miesięcy. Daje mi taką siłę, pewnego rodzaju. Gdy jej słucham, mam wrażenie, że sobie poradzimy.

Wszyscy przytaknęli, nagle jednak rozległ się hałas na dole. Znikąd pojawiło się kilkunastu funkcjonariuszy, uzbrojonych po zęby.

---

<sup>1</sup> Wiersz własnego autorstwa, napisany na potrzebę opowiadania.

- Altmann Nawoja! Struna Świętopełk! Batory Mojmira! Wydra Żeliszawa! Piwowarski Karol! – gruby głos ryknął na nich. – Potrzebny Miłosław! – M. jako ostatni poderwał się i stanął pod ścianą.

- I co młodziaki? Żle w domu było? – dalej krzyczał gruby głos, kiedy jego towarzysze skuwali zatrzymanych. – Warto było tak złamać prawo? Zgnijecie w areszcie! Zobaczycie!

Popchnęli młodych w kierunku schodów. Jeden Miłosław uśmiechał się mimo łez. W głowie krążyła mu jedynie myśl: *Oczywiście, że warto.*